

Jezus i gadająca gitara

AUTOR: ARTUR DUDA

Autor i zarazem reżyser konsekwentnie realizuje pomysł na spektakl, w którym mówiące postaci zderzają się z na ogół milczącym Wokalistą grającym na gitarze elektrycznej.

■ Nie ma chyba nic bardziej niesmacznego niż widok starzejącego się rockmana, który znie-nacka ogłasza całemu światu swoje nawrócenie. Zdrowie utopił w morzu wódki, fani odpłynęli w siną dal, podobnie jak partnerki, a organizm wysyła jasne sygnały śmiertelności, które budzą lęk – i oto nagle nasz sybaryta-erotoman-celebryta przemawia do tłumu z faryzejskim uśmiechem: „Jezus przyszedł”. Mniejsza o nazwiska tej całej rzeszy „nawróconych” medialnie w świecie rzeczywistym. Przypominają jak jeden mąż Don Juana w kreacji Andrzeja Seweryna ze spektaklu Teatru Telewizji wyreżyserowanego lata temu przez Leszka Wosiewicza. Don Juan-Seweryn wychodził tam z mroków zrujnowanej hali fabrycznej w pełne słońce i rozdawał swoje rzeczy biednym. W tle brzmiała podniosła pieśń sacro polo. „Dziękuję Tobie, o Panie, dziękuję za miłość Twą. / Dzięki za powołanie, które dałeś mi”. Brzmiała mi ta pieśń w uszach, kiedy na Scenie na Zapleczu toruńskiego teatru pojawił się w światłach reflektorów główny bohater przedstawienia Tomasza Mana na podstawie tekstu tegoż Tomasza Mana. Gwoli sprawiedliwości trzeba powiedzieć, że najpierw zabrzmiały w ciemności dźwięki gitary elektrycznej. Mocno i prawdziwie.

Nie ulega wątpliwości, że autor i zarazem reżyser przedstawienia *Jezus przyszedł* konsekwentnie realizuje na scenie pomysł na spektakl, w którym mówiące postaci zderzają się z na ogół milczącym Wokalistą grającym na gitarze elektrycznej. Dosyć logicznie w tej roli został obsadzony Grzegorz Wiśniewski, aktor

śpiewający (w najlepszym sensie tego określenia), o aparycji dopasowanej do bohatera w kryzysie wieku średniego (rockowy kostium plus nieco rozczochrana czupryna), prywatnie nieco zamknięty w sobie, w zespole toruńskim zajmujący pozycję outsidera. Pewną niespodzianką in plus była jednak dla mnie jego sprawność w dziedzinie rockowego grania. Ma Wiśniewski przecież na koncie spore osiągnięcia w spektaklach muzycznych, gdzie dominowały pio-

Kłopot w tym, że postaci, które odwiedzają bohatera na małej scenie z kanapą i mikrofonem, są do bólu stereotypowe. Jak przychodzi Menedżerka, to jest bezgranicznie głupia, pazerna na pieniądze, dyspozycyjna (także jako osobista kochanka artysty) i fałszująca we wspólnym śpiewaniu (takie wykonania bluesa jak w występie Mirosławy Sobik powinny być zakazane). Jak do Wokalisty zagląda Matka (grana przez Karinę Krzywicką) – to jest gde-

W przedstawieniu Mana tak często pada słowo „Jezus”, że w pewnej chwili chce się krzyknąć: „Zostawcie Jezusa w spokoju!”. Zaraz przychodzi jednak refleksja, że to słowo pseudonimuje stan totalnego kryzysu, w którym znalazł się bohater.

senki poetyckie, na przykład w 2006 roku w duecie z Julią Sobiesiak zrealizowali *Między nami* z utworami Jacka Kaczmarskiego i Marcina Świetlickiego. Tymczasem w *Jezus przyszedł* Wiśniewski gra na żywo w stylistyce mocno rockowej – momentami thrashmetalowej, momentami bluesowej, rzadziej frywolne nuty country i liryczne brzdąkania. Dźwięki instrumentu elektrycznego nie ilustrują jednak tego, co się dzieje na scenie. Właściwie milczący (na ogół) Wokalista wypowiada się za pomocą gadającej bez przerwy gitary. W strukturze *call and response* typowej dla wielu gatunków muzyki kościelnej i popularnej.

rającą egoistką, ciągle szukającą życiowego partnera, a syna okłamującą bezceremonialnie, że ma raka. Trzeci będzie Ksiądz (Łukasz Ignasiński) – „nałazliwy”, łasy na pieniądze, rozanielony wizją budowania kościoła na pamiętkę tego, że „Jezus przyszedł” do Wokalisty, oraz marzeniem o tym, że zostanie pochwalony... przez biskupa czy samego papieża. W nieznośnie telenowelowym stylu rozwija się tu wątek rodzinnych powiązań Wokalisty z Księdzem. Oto jego syn, kiedyś porzucony, teraz rzucający się w ramiona „marnotrawnego ojca”. Widownię śmieszy epizod księżowskiego napomnienia, aby nawrócony spalił gitarę-

TEATR IM. WILAMA
HORZCY W TORUNIU

Jezus przyszedł
Tomasza Mana

reżyseria, muzyka
Tomasz Man
scenografia
Anetta Piekarska-Man

prapremiera
14 grudnia 2019

Od lewej:
Łukasz Ignasiński
[Ksiądz],
Grzegorz Wiśniewski
[Wokalista]



fol. Wojtek Szabelski

-narzędzie Szatana i posypał głowę popiołem z tej gitary. Cóż z tego, skoro takich komicznych momentów w spektaklu Mana jest jak na lekarstwo, a całość szeleści papierem, małą wiarygodnością motywacji postaci i płycizną dialogów. Tylko gadająca gitara Grzegorza Wiśniewskiego pozwala dotrzeć do końca w ciekawości, dlaczego dramaturg i reżyser wystawił nie tylko swój dramat, lecz przede wszystkim nas, widzów, na taką próbę.

Jeśli spektakl ma jakiś jasny punkt, to jest to postać tworzona przez Grzegorza Wiśniewskiego – graniem na instrumencie, ale już nie zawsze graniem roli. Performatywna wiarygodność muzyka bierze wyraźnie górę nad iluzyjną sprawnością aktora. Wokalista pochłonięty grą na gitarze przypomina mi tych kolegów, którzy szamotali się latami sami ze sobą, z nałogami, samotnością, rozpadem osobowości albo przyjaznego świata wokół nich, zamykali się w sobie, nagle znikali. Kilku umarło tragicznie. W średnim wieku. Na drzewie niedaleko rodzinnego domu albo w hotelu we własnym kawalerskim mieszkaniu. Wokalista Wiśniewskiego to właśnie taki średnio stary/młody facet, Piotruś Pan z rock'n'rollową pasją, ale jakby przebudzony ze snu i przerażony pustką, którą odkrył wokół siebie. Pustką, czyli brakiem sensu. „Jesteśmy przechodniakami, jesteśmy przechodniakami” – śpiewa sobie w jednym

z epizodów. Z kolei w piosence, która stanowi lejtymotyw spektaklu i przypomina rozpaczliwy song z lat osiemdziesiątych minionego wieku, Wokalista Wiśniewskiego śpiewa o Jezusie-złodzieju, który kradnie sny, głowę, zabiera człowiekowi wszystko.

W przedstawieniu Mana tak często pada słowo „Jezus”, że w pewnej chwili chce się krzyknąć: „Zostawcie Jezusa w spokoju!”. Zaraz przychodzi jednak refleksja, że to słowo pseudonimuje stan totalnego kryzysu, w którym znalazł się bohater Wiśniewskiego. „Jezus” to właśnie niespodziewane przebudzenie się z życiowej krzątaniny i gadaniny, to Heideggerowska trwoga, odkrycie nicości świata, to „nadryw” Dostojewskiego, ów stan poruszenia nerwów, który stawia człowieka na baczność i kieruje go nieraz ku samozagładzie. „Jezus” to może nawet głos Sokratejskiego daimona, który poderwał Wokalistę do myślenia – wreszcie jakiś głos powiedział mu, że wszystko, co osiągnął, zda się na nic, że ruina jego kariery i życia osobistego odzwierciedla ruinę jego duszy.

Do tej myśli nie doszedłbym w ogóle, puszczać mimo uszu błahość dialogów, gdyby nie postać Kobiety zagranej przez Jolantę Teskę. Na pierwszy rzut oka to stereotypowa bezdomna wariatka z torbami. Okazuje się, że jako jedyna widziała spotkanie Wokalisty z Jezusem w ogrodzie. Wariatka – myślimy sobie.

Sam bohater stwierdził dopiero co, że sobie przyjście Jezusa wymyślił. Aby sprawdzić bliskie sobie osoby, przetestować ich stosunek do siebie. Tymczasem Kobieta w najlepszym monologu toruńskiego przedstawienia wypowiada kojącym głosem diagnozę stanu ducha bohatera. Wreszcie czuć w tym fragmencie dramaturgiczny pazur. Kobieta mówi na pozór o konieczności pielęgnowania ogrodu zaniedbanego przez Wokalistę, wymienia czynności związane z uporządkowaniem drzew, zaleca zabiegi, z łagodnym uśmiechem wzywa do podjęcia koniecznych prac. Pokazując, jak bardzo Wokalista zaniedbał przestrzeń wokół siebie, stopniowo rozwija metaforę ogrodu-duszy. Jak wytrawna terapeutka odsłania analogię pomiędzy zaniedbaniami w przestrzeni prywatnej bohatera a ruiną jego duszy. Wokalista Wiśniewskiego kładzie w końcu głowę na jej ramieniu. Zgadza się zaśpiewać z nią dla Jezusa. Muzyka popularna to jego prywatne, nawet intymne królestwo. Gitara elektryczna to jego niezawodny przyjaciel, kochająca partnerka, użyteczna broń, instrument mierzenia się ze światem. Palce delikatnie przesuwają się po gryfie, a noise układa się w sensowną opowieść o mężczyźnie otaczającym się murami. Skrytym, zamkniętym w sobie. Tylko po co padło wcześniej ze sceny aż tyle słów? ■